

# **SZCZĘŚCIE**

**I INNE PRZYPADKI**

# SZCZĘŚCIE

I INNE PRZYPADKI  
MIKROREPORTAŻE

I Z A K L E M E N T O W S K A

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Iza Klementowska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

## Szczęście

*Szczęście nigdy nie było ważne i głównym problemem jest to, że sami nie wiemy, czego chcemy.*

Slavoj Žižek w wywiadzie dla „The Guardian”, za: Strefa Psyche Uniwersytetu SWPW

*Szczęście – filozoficzne i psychologiczne pojęcie niejednolicie definiowane, używane w znaczeniu: zdobycia najwyższej cenionych społecznie dóbr i przymiotów, trwałego zadowolenia z życia połączonego z pogodą ducha i optymizmem, poznawczej oceny własnego życia jako udanego, wartościowego i sensownego, pomyślnego bilansu doświadczeń życiowych.*

Encyklopedia PWN

Jestem. Po prostu jestem.

*Alina, 87 lat*

2 Krwawiłam mocno. Obudził mnie sen, że ktoś wykrawa ze mnie jakiś kawałek. I mój niemy krzyk. We śnie zdarzają się takie krzyki, kiedy boisz się, że straciłaś głos. I masz ochotę jeszcze głośniej krzyżeć, ale nie możesz, paraliżuje cię strach i z tego stresu budzisz się z niemym okrzykiem, który wysusza gardło. Ucieszyłam się, że się obudziłam. Poczułam ulgę, że do tego niepokoju doszło tylko we śnie. Ale już po sekundzie ból w podbrzuszu zgiął mnie wpół. Odruchowo chwyciłam męża za ramię. Ścisnęłam go tak mocno, że od razu się ocknął. Nie mogłam powiedzieć słowa, spojrzałam w dół i zobaczyłam plamę na prześcieradle. Mąż zadzwonił po pogotowie. To był dopiero drugi miesiąc. Sygnał karetki, która wiozła mnie do szpitala, zdawał się mówić: straciłaś je, to wszystko. Jechałam, patrząc na księżyc i spokój uśpionego miasta, zagłędałam w ciemne okna mieszkań i zazdrościłam ludziom niczym niezakłóconego snu.

Byłam pewna, że pewien etap w moim życiu się skończył. Nieodwołalnie. I że nie wygrzebię się ze smutku przez długi czas. Bo tak czekaliśmy na to dziecko! Trzy lata starań i w końcu się udało. Mąż już dawno stracił nadzieję i przestał wchodzić do pokoju, który przygotowaliśmy dla malucha. Patrzenie na białe chmurki wymalowane własnoręcznie na błękitnie ścian okazało się zbyt dużym emocjonalnym obciążeniem. Pojechał do szpitala osobno, autem, i chociaż najważniejsza byłam teraz ja i krwawiące dziecko, to jednak myśl o nim i jego rozczarowaniu nie dawała mi spokoju. Zawiodłam. Moje ciało go zawiodło. Kiedy dojechaliśmy do szpitala, byłam już właściwie pogodzona ze stratą. Ale jednocześnie jakby martwa w środku. Położyli mnie na łóżku do badania, ból wrócił, a krwawienie jakby ustało. Nie wiem, co ze mną robili. Widziałam tylko, że bez przerwy koło mnie biegali, i straciłam rachubę czasu. Patrzyłam na biały sufit.

– Udało się – powiedział lekarz. Jego radość wydała mi się jakaś zupełnie nie na miejscu. Co się udało? Co mu się udało? Zaświecił mi niewielkim światełkiem w oczy i wtedy do mnie dotarło.

– Małeństwo? – spytałam tylko, bo nadzieja była ostatnią rzeczą, jakiej chciałam się trzymać na wypadek, gdyby jednak się nie sprawdziła.

– Tak, jest zdrowe, wszystko w porządku. Udało się zatrzymać krwawienie. Pękła pani mała torbiel, to wszystko.

Serce prawie wyskoczyło mi z piersi. Znów zobaczyłam wyimaginowaną twarz mojego jeszcze nienarodzonego dziecka. Powoli wracałam do myśli, że jednak je zobaczę.

– Miała pani dużo szczęścia – powiedział lekarz.

*Agnieszka, 35 lat*

3 Patrzyłam na ojca i brata i wiedziałam, że więcej ich nie zobaczę. Ciężarówka zniknęła mi z pola widzenia po kilku chwilach. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, co to oznacza, ale już potrafiłam poczuć stratę. Miałam cztery lata i mama tuliła mnie do piersi, aż mnie żebra bolały. Nas nie wywieziono do obozu, do dziś nie rozumiem dlaczego.

Wojna minęła. Poszłam do szkoły i każdego dnia, kiedy z niej wracałam, widziałam moją zapłakaną matkę. Nie takiego dzieciństwa chciałam. Tym bardziej że co noc słyszałam, jak wołała imię mojego brata: „Wojtuś! Wojtuś!”. W pewnym momencie wręcz go nienawidziłam, bo wydawało mi się, że mama kocha go bardziej ode mnie. A miałyśmy tylko siebie. Cała rodzina zginęła. Kiedy trochę podrosłam, zaczęłam rozumieć tęsknotę matki za mężem i synem. Mnie niespecjalnie brakowało ojca, bo prawie go nie pamiętałam. Poza jednym zdjęciem, na którym mam roczek, a on trzyma mnie pod pachami siedzącą na jego kolanach. Uśmiecha się szeroko. No i te plecy na pance ciężarówki. Zaczęłam pytać mamę o niego, potem o brata. Był starszy ode mnie o cztery lata. „Nie mógł przeżyć” – mówiła matka, ale ciągle wysyłała listy do Czerwonego Krzyża. Ciągle ich obu szukała.

Informacja o ojcu przyszła dwa dni po moich osiemnastych urodzinach. Zamordowany w obozie w Buchenwaldzie w 1943 roku. O Wojtku ani słowa. Jakby się rozpułnął w powietrzu gdzieś po drodze. Mama zamknęła twarz w dłoniach i widziałam tylko jej drgające ramiona. Przytuliłam i poczułam nagle, jak łzy toczą mi się po policzkach, a po nich ogarnął mnie taki gniew, wiedziałam, że muszę w coś go zamienić. Obiecałam sobie, że i ja nie spocznę, dopóki go nie odnajdę. Zajął mi to dwadzieścia następných lat. Traciłam już nadzieję. Wróciłam z pracy w archiwum i jak zwykle otworzyłam skrzynkę poczt-



wą. Leżał tam list. „Panu Wojciechowi T. zmieniono nazwisko na A. Został adoptowany przez rodzinę kanadyjską, która zgodziła się z Panią skontaktować. Proszę o odpowiedź na adres...”

Zastanawiałam się, dlaczego Wojtek sam nas nie szukał. Byłam nawet trochę na niego zła. Wyjaśnienie pojawiło się, kiedy wylądował w Warszawie. Podczas pobytu w obozie przeszedł ostre zapalenie opon mózgowych – cud, że przeżył, ale już do końca życia miał mieć problemy z pamięcią. Mama stała w hali lotniska, wypatrując dziecka, które zniknęło na pacy ciężarówki. Zza drzwi sali przylotów wyszedł bardzo wysoki mężczyzna, już lekko siwiejący, który – kiedy tylko ujrzał mamę – od razu do niej podbiegł. Ten moment, ta chwila ich mocnego uścisku już nigdy się nie powtórzyła.

Jednorazowe odczucie pełni szczęścia.

*Halina, 85 lat*

**4** Kiedy klęknął na jedno kolano na szczycie Kasprowego i wyciągnął ze skarpetki pierścioneł zaręczynowy. Mało brakowało, żeby spadł, bo przykucnął na krawędzi. Ze strachu, że zaraz runie w dół, od razu powiedziałam „tak”.

*Ewa, 29 lat*

Mam dwadzieścia pięć lat. Przychodzi esemes od znajomego: „Idź kupić *Dziennik Máraiego*. Idź teraz!”. Esemes przychodzi na starą nokię z zielonym wyświetlaczem. Leżę na wersalce, gapię się w sufit. W tamtym czasie często mi się to zdarza. Wstaję i jadę do miasta po książkę. Skończyłam właśnie kulturoznawstwo. Nie wiem co dalej. I nie wierzę w siebie.

Na trzecim roku wpadłam w depresję. Żołądek czasami bolał mnie do tego stopnia, że nie mogłam normalnie funkcjonować. Mój dzień wyglądał tak: wsiadałam do autobusu, wsiadałam pod uczelnię, przechodziłam na drugą stronę ulicy, natychmiast wsiadałam w autobus powrotny. Taka niemoc.

Książka kosztowała sześćdziesiąt siedem złotych. Nadal ma przyklejony plasterek z ręcznie napisaną ceną na tylnej okładce. Na czternastej stronie znajduję zdanie: „Szczęście jest kwestią dyscypliny”. I od razu mnie dotyka. Trochę się nawet buntuję. Jaka dyscyplina? Wolność – to jest to! Za każdym razem przepisuję je do nowego notesu, gdy stary się kończy.

Dwa lata później zaczynam pracować dorywczo jako korektorka. Nienawidzę tego. Próbuję być dziennikarką. Coś tam publikuję. Zaczyna być poważnie. Często nie wstaję z łóżka. Przestaję sypiać. Moje dwudzieste siódme urodziny – na dworze mróz i słońce. Taka pogoda, że zdrowy człowiek wyjrzy przez okno i pomyśli: Boże, jak pięknie. A ja sobie myślę wtedy, że kurwa, znowu się obudziłam (jeżeli udało mi się zasnąć). Idę na wywiad z Irakijką, której udało się przyjechać do Polski. Na ugiętych nogach. Taka szklanka. Niedługo złapią Husajna, niedługo go zabiją. To ten mniej więcej czas. Zapewniała, że przyjdzie. Nie przysła. Totalnie się rozpadam. Jest południe. Łzy ciekną ciurkiem. Mijam kościół. Wchodzę. Podchodzę do konfesjonału, klękam i mówię, że są moje urodziny, nie byłam u spowiedzi jakieś pięć lat i nie czuję się za dobrze.

A ksiądz na to: Ojej, to nie było rachunku sumienia.

Ja: Nie, no był, cały czas go robię.

On: Oj, nie było.

Ja: Był. Chyba lepiej wiem.

On: Jak nie było rachunku, to i żalu nie było. Nie mogę cię wypowiadać.

Ja: Jak to żalu nie było? Żal to cały czas jest! Czy w takiej sytuacji ksiądz nie ma obowiązku mi jakoś pomóc, porozmawiać?

On: Ale ja ci właśnie pomagam.

Po czym odsuwa się od kratki między nami. „Ożeż ty”, myślę sobie. I wtedy, po wyjściu, w słońcu, prawie na czworakach, bo ta szklanka, ale też dlatego, że żołądek z rozpaczyny mam wywinęty na drugą stronę, przypominam sobie TO zdanie zapisane w notesie. Jeszcze nie wiem wtedy, że oznacza to: regularne uprawianie sportu, za którym wtedy nie przepadałam (fitness, rower, joga), zmiana diety (depresja uwielbia cukier i alkohol), regularne czytanie o mózgu i zastanawianie się, czy można coś w nim zmienić, a jeżeli tak, to jak. Stosowanie metod wyczytanych w książkach o mózgu, harówa, żeby przestawić sposób myślenia na bardziej pozytywny, harówa, żeby nauczyć się dawać ludziom i od nich brać, praca nad koncentracją (radość choćby z piętnastu minut czytania lub pisania w skupieniu), wieloletnie podchodzenie do medytacji, lata upadania i podnoszenia się. Tych lat było dziewięć. Dzisiaj śpię jak dziecko. Tamten dzień, kiedy uświadomiłam sobie, że szczęście to jednak dyscyplina, to było szczęście samo w sobie, ale doświadczone dopiero po latach.

*Justyna, 39 lat*

Hopsa, hopsa. Hopsa, hopsa. I tak w kółko przez ponad godzinę. Siedziałam na siedzeniu za kierowcą motocykla i kiedy wjechaliśmy w pierwszy wybój, przestraszyłam się, że spadnę. To była polna droga gdzieś w Azji, wokół kołysały się palmy, a mnie kręciło się w głowie od zapachów. Zaledwie kilka minut wcześniej mijaliśmy małą wioskę, w której przy drodze uliczni sprzedawcy oferowali potrawy pachnące przyprawami, a chwilę potem wjechaliśmy w niczym niezapowiedziany las kokosów. Było upalnie, wilgotno, koszulka z cienkiej tkaniny kleiła mi się do skóry. Motor był stary, kopał spalonym paliwem tak, że mało się nie udusiłam, kiedy mój partner włączył silnik. Złościłam się na niego za to, że wybrał taki środek lokomocji. Uparł się, że rikszą nie będzie jeździł, bo to dobre dla turystów. Ale przecież nimi byliśmy. On jednak uważał inaczej. „To, że mamy plecaki, nie oznacza, że jesteście turystami. My to podróżnicy, którzy docierają do mało uczęszczanych miejsc, nie wykorzystując miejscowych”.

Nie za bardzo dostrzegałam różnicę, ale machnęłam ręką i wsiałam na ten przeklęty motocykl. Na początku jechaliśmy wolno, wioska za wioską zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Co chwila na drogę wyskakiwał a to pies, a to małe, niepilnowane przez nikogo dziecko – i to wprawiało mnie w jeszcze większy niepokój. Bo tylko tego brakowało, żebyśmy narobili sobie tu kłopotów. Mój partner nie miał prawa jazdy na motor, a i tak mu wypożyczyli. Rdza pożerała szprychy, ale powiedzieli: „To jak się zepsuje lub uszkodzi, zostawcie go i tyle. Ktoś weźmie złom”.

Wolałam nie patrzeć na te szprychy ani pozbawione koloru rury. Tuż po ostatniej wiosce mój partner mocniej nacisnął gaz i chwilę później asfalt zamienił się w polną drogę, która kurzyła się tak, że kiedy obejrzałam się za siebie, widziałam

16 jedynie tumany piasku. Mocniej chwyciłam go w pasie, bo pędził teraz, jakby kończył się świat. Tył motocykla tańczył to w lewo, to w prawo i zaczęłam w pewnym momencie krzyżeć, żeby zwolnić, bo nie daję rady się utrzymać. Nic. Cisza. I tylko ryk silnika.

Miałam ochotę zejść z motoru, byłam wściekła i obiecałam sobie, że jak tylko się zatrzymamy, zerwę z nim raz na zawsze. Nie słuchał mnie, nie czułam się bezpiecznie. Przecież byle wybój i amen, skręcony kark. Rozplakałam się, ale przecież jego koszulka i tak była mokra. I wtedy nie wiem, co się stało. Jakbym zapadła w letarg. Przestałam słyszeć świst wiatru, który mierzwił mi włosy, a zamiast tego zobaczyłam słońce, a potem las palmowy, który nie chciał się skończyć. Zachwyciłam się, patrząc, jak kołyszą się na wietrze, objijając się kokosami. Uśmiechnęłam się i rozluźniłam objęcie. Dopiero wtedy zobaczyłam, jak mocno ścisnęłam go w pasie, a on nawet nie mruknął. Hopsa, hopsa. Zaczęło się. Podskoczyłam na tylnym siedzeniu i zamiast się przestraszyć, zaśmiałam się. Hopsa, hopsa. Znowu. Roześmiałam się jeszcze głośniej. Hopsa, hopsa. Rechot. Hopsa, hopsa i już nie mogłam przestać się śmiać. Rozpierało mnie takie szczęście, jak jeszcze nigdy w życiu. I do dzisiaj nie potrafię tego zrozumieć. Jak blisko jest od strachu do radości. Jak niewielka granica dzieli lęk od poczucia szczęścia. Niby wiedziałam, że wszystko w naszym życiu się zmienia, ale nie sądziłam, że ta zmiana nastąpi tak gwałtownie. Kiedy zsiadłam z motocykla, nie przestawałam dziękować mojemu partnerowi za tę najwspanialszą chwilę.

*Agata, 33 lata*

Za każdym razem, kiedy jem lody.

*Antek, 5 lat*

8 Ważka krążyła wokół mnie zupełnie jak mucha, choć raczej niespiesznie. Byłem wtedy na zewnątrz, próbowałem posadzić pomidory w czymś, co razem z żoną nazywaliśmy ogrodem. Ziemia na tej naszej pustyni była jednak wybredna i wysysała z sadzonek soki życiowe. Klęczałem na suchej ziemi, gdy przyleciała ważka. Kolana powoli przyzwyczyły się do coraz twardszego, spękanego podłoża. Krążyła tak, jakby chciała porozmawiać. Skrzydełka jednak poruszały się jakby w zwolnionym tempie, sprawiając, że zataczane kręgi nie były równe. Jakby traciła siły.

Wstałem z kolan, obserwując ją czujnie. Wyciągnąłem rękę, tak jak wtedy, gdy w dzieciństwie przywoływałem sokoły. Ważka zawahała się, ale zbliżyła, zataczając coraz mniejsze kręgi. Była duża i lekko złota, błyszczała w słońcu. Mary, moja żona, uwielbiała ważki. Uważała je za symbol szczęścia. Dawno jednak nie pojawiały się w naszej okolicy i była już prawie pewna, że wyginęły. Wiedziałem, że sprawię jej radość. Tuż przy moich nogach stał duży słoik z resztką wody. Choć była mi droższa niż niewyrosłe jeszcze pomidory, wylałem ją na ziemię, z której momentalnie wyparowała. Zamachnąłem się. Ważka znieruchomiła i osiadła na dnie słoja.

Żona jak zwykle o tej porze spała na sofie, znajdującej się kilka metrów od okna. Słońce nie docierało do niej nawet śladem promienia. Lubiała udawać, że ktoś wyłącza czasami główną gwiazdę naszego układu w galaktyce. Nie żeby nie lubiła słońca. Wiedziała, że bez niego nie byłoby na ziemi życia. Ale wiedziała też, że potrafi ono to życie również zniszczyć. A skórę przypalić aż do bąbli. Jej oczy już dawno przestały przyjaźnić się z promieniami. Musiała zakładać okulary przeciwsłoneczne za każdym razem, kiedy opuszczała dom. Wiedziałem o tym i pozwalałem słońcu spalać moją skórę zamiast skóry żony.



Musieliśmy przecież coś jeść. Stąd pomysł ogrodu, który – mieliśmy nadzieję – kiedyś w końcu powstanie. Uczepiłem się tej myśli, wierząc przy okazji, że tak silna wiara zdoła urodzić rośliny.

Teraz żona spała na sofie. Postawiłem słoik z nieruchomą ważką na poduszce i czekałem. Siedziałem, wpatrując się w śpiącą spokojnie Mary. Gdy zobaczyłem ją w barze trzydzieści trzy lata wcześniej, oniemiałem. Było wesoło, muzyka bębniła nawet w moich płucach. Odbijała się echem w oddechu również przy zamawianiu drinka. Barman nie zrozumiał, kiedy próbowałem wypowiedzieć słowa: „Whisky on the rocks with lime”. Mary także siedziała przy barze. Chociaż rozmawiała o czymś z przyjaciółką, sprawiała wrażenie najspokojniejszej osoby w pomieszczeniu. Jasna twarz o łagodnych rysach, malinowa chusteczka w grochy, zawiązaną na szyi podkreślała jej alabastrową skórę. Brunetka o orzechowym spojrzeniu uśmiechała się lekko, nie rozchylając ust, jakby wstydyła się tego, co słyszy, tego, co sama pozwala sobie słyszeć. Wiedziałem od razu, że ta dziewczyna o kruchej posturze, o talii, którą mógłbym objąć dłońmi, będzie moją żoną.

Kiedy się przedstawiałem, jej uśmiech się nie zmienił. Kiedy się oświadczałem, jej uśmiech się nie zmienił. Wiedziałem jednak, czułem, że mnie kocha. Pierwsze małżeństwo Mary nie było udane. Już po dwóch tygodniach nosiła na sobie granatowe sińce. Była dla męża nie taka, jak sobie wymyślił. Nie gotowała, jak trzeba, nie sprzątała, jak trzeba. W łóżku zbyt delikatna. W piątym roku małżeństwa rozważała nawet samobójstwo, jednak myśl o dzieciach utrzymała ją przy życiu. Gdy urodziła szóste dziecko, zamknęła się w sobie. Całymi dniami spała z twarzą zwróconą w stronę ściany. Dzieci musiały wychowywać się niemal same. Brak kontaktu z żoną mąż

rekompensował sobie kolejnymi butelkami whisky lub dżinu. Następnego dnia nie pamiętał, w które miejsce na ciele żony uderzył najmocniej. Mary w końcu zebrała siły i wniosła o rozwód. Opuściła męża – ale depresja została.

Poznaliśmy się dwa lata później, depresja nie opuściła jej do końca życia. Wiedziałem jednak, że mnie kocha. Musiałem tylko dbać o nią jak o najdelikatniejszy kwiat. Teraz siedziałem przy łóżku wpatrzony w spokojną jak zwykle twarz żony i nie czułem nic, poza czułością. Rak, który przetaczał się przez jej ciało już jakiś czas, zabierał mi ją każdego dnia po częsteczkę. Dlatego tak bardzo ważna była każda chwila, kiedy się uśmiechała. A uśmiechała się do wszystkich stworzeń, które jeszcze żyły w okolicy. Ważki były tymi, które rozpromieniały jej twarz najbardziej. Obudziła się. Ważka chyba to dostrzegła. Zamachała skrzydełkami, objając się o zamkniętą ścianę słoika. Dźwięk brzmiał jak dzwoneczki na obróżce kota, który dzielił już z nami dziesięć lat swojego życia. Mary otworzyła oczy bardzo szeroko, zrobiły się prawie okrągłe. Uśmiechnęła się tak bardzo, że aż się roześmiałem. Łzy pocięły po jej twarzy, naznaczonej już zmarszczkami. To było szczęście. Ten moment.

Mary wzięła do ręki słoik z ważką i przyglądaliśmy jej się oboje przez dłuższą chwilę. W końcu wstała z łóżka. Zabrała słoik i stojąc już na progu domu, odkręciła wieczko. Słońce właśnie zaczęło zachodzić czerwonymi pasmami. Ważka wyfrunęła, a po chwili zmieniła się w błyszczący punkt na horyzoncie. Tydzień później Mary zmarła. Dwa tygodnie później dopadł mnie czwarty zawał.

*Daniel, 81 lat*

Zbliżaliśmy się już do lotniska w Podgoricy. Brakowało jakichś trzydziestu minut, żeby samolot zaczął się zniżać do lądowania. Kapitan właśnie poinformował o zapięciu pasów, niewstawianiu z miejsc i odsłonięciu okien. Rozluźniłam się. Lot nie był nieprzyjemny, ale trwał już trzy godziny. Ze Sztokholmu wylecieliśmy o czasie, dochodziła dwudziesta druga i miałam ochotę po prostu położyć się do łóżka.

Zamknęłam oczy i czułam, jak samolot rozpoczyna obniżanie. Ciśnienie zatkało mi uszy, przetykałam ślinę nieomal z częstotliwością mrugania. Nagle szarpnęło maszyną tak, że od razu otworzyłam oczy i spojrzałam za okno. Zupełnie bez sensu, bo było ciemno. Migąło tylko światełko na skrzydle. I kiedy zerknęłam na nie, rozbłysło światło, białe, trwało zaledwie chwilę i zanim doszło do mnie, co się stało, samolotem zatrzęsło tak mocno, że bezwiednie chwyciłam się oparcia fotela. Od tamtej pory pilot zdawał się nie mieć kontroli nad maszyną. Rzucało nią na lewo, na prawo, w górę i w dół, zupełnie bez żadnego rytmu, w chaosie, który musiał w końcu wydobyć krzyk z gardeł pasażerów. Mnie jakby odjęto mowę, miałam ściśniętą krtani, tylko serce waliło mi w piersi jak oszałała. „Proszę państwa, samolot doznał usterki, nie możemy wylądować na lotnisku w Podgoricy, ale będziemy próbować na najbliższym, które nam na to zezwoli”.

Samolot dokonał nagłego zwrotu, a mój żołądek przewrócił się na drugą stronę i wtedy znowu zobaczyłam owe białe światło, które wstrząsnęło maszyną jeszcze raz, gwałtowniej niż poprzednio. Burza. To była burza z piorunami. Cicha, bo oprócz przerywanego ryku samolotu nie słychać było nic. Siedziałam na środkowym miejscu i od czasu do czasu spoglądałam na twarze osób obok mnie. Przerazenie na nich było tak wielkie, że przestałam. Lecieliśmy w tym szarpanym ryku

jeszcze około godziny, podczas której żegnałam się z bliskimi i żałowałam, że nie powiedziałam im, jak bardzo ich kocham. Tak bardzo chciałam ich w tym momencie dotknąć.

„Proszę państwa, lotnisko w Sofii zgodziło się nas przyjąć. Powinniśmy lądować za mniej więcej piętnaście minut”. Pilotowi drżał głos, dlatego nie czułam się zbyt pewnie i bezpiecznie. Stewardesy z bladymi twarzami i zaciśniętymi ustami przestały już nawet prosić pasażerów o spokój. Dwie z nich miały zamknięte oczy. Zamknęłam więc je i ja. Czułam, jak samolot się zniża, a przy tym zniżaniu szarpie nim na wszystkie możliwe strony, i jakoś trudno było mi uwierzyć, że wylądujemy cali. Kiedy jednak koła uderzyły o pas lotniska, krzyknęłam ze szczęścia. Byłam na ziemi. Już nie wzbijemy się z powrotem w powietrze, już jedziemy po stałym lądzie, musimy się tylko zatrzymać. I tyle. Serce chciało mi się wyrwać z piersi chyba bardziej niż ja z siedzenia, na którym przeżyłam najbardziej stresujące momenty mojego życia. I byłam wdzięczna za to, że jestem. Że po prostu jestem. Kiedy wyszłam z samolotu do autobusu zawożącego pasażerów do hali lotniska, widziałam przytulających się do siebie rozplakanych, lecz uśmiechniętych ludzi. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa jak w tym momencie.

Żyłam.

*Barbara, 46 lat*

„Mamo, a jeśli puszcę balonik, to on będzie szczęśliwy?”

*Eryk, 4 lata*

**11** Wydawałoby się zupełnie normalny poranek. Obudziłam się, czując jego dłoń przełożoną przez moją talię. Jestem do tego przyzwyczajona, mamy kilkuletni staż małżeński. Jego czułość nie zmieniła się z biegiem lat, daje mi ona bezpieczeństwo. Dzięki temu jestem spokojna, wiem, że zawsze mi pomoże.

Znajdowaliśmy się w górach, w małym pensjonacie. Mieliśmy pokój iście gauguinowski – tylko stół, dwa krzesła, szafa i łóżko, wszystko w drewnie, również okiennice, które ze starości zdążyły tu i ówdzie popękać. Było lato, słońce próbowało dostać się przez nie od świtu. Nie wiem, która była godzina. Światło promieni padających na podłogę delikatnymi smugami było jasne, prawie białe. Dlatego wydawało mi się, że musi być wcześniej, koło piątej lub szóstej rano.

Patrzyłam, jak promyki słońca tańczą z kurzem, kręcąc się bez opamiętania czy rytmu, i coś rozsadzało mi klatkę piersiową. Czułam ciepło ze strony męża, a w piersi jakaś kula, gorąca, rozszerzała mi żebra i mostek, i nie przestawałam się uśmiechać. Zwykły moment, zwykły poranek, zwykłe promienie słoneczne, ale ten dzień, chociaż zdarzył się ponad dziesięć lat temu, uważam za jeden z najszcześniejszych w życiu.

*Katarzyna, 40 lat*

Dzwonił pod numer oznaczony czerwoną piątką. Nikt nie otwierał. Pod dziesiątką też nikt. Piętnastka – cisza. Tego dowiedziałam się później.

„Taki wielki blok, a nikt tu nie mieszka, czy co? – pytał sam siebie, szcękając zębami z zimna. Przeskakiwał chwilę z nogi na nogę. – Podobno ułatwia to myślenie. – Zaśmiał się do siebie. – Mnie pomaga się rozgrzać”.

Stwierdził, że może ktoś mieszkający bliżej nieba lepiej go zrozumie, i nacisnął ostatni numer domofonu, czyli pięćdziesiąt trzy. To był numer mojego mieszkania. Usłyszałam: „Dobry wieczór, jestem Jan, bezdomny. Nie chcę od pani niczego, proszę jedynie otworzyć drzwi. Jest bardzo zimno. Mróz”.

Spojrzałam za okno. Rzeczywiście na dachach domów cza-py śniegu, a przed samymi szybami sople jak stalaktyty w niejednej jaskini. Nacisnęłam przycisk domofonu. Zapomniałam, że nie mam nic pod szlafrokiem. Nie zamierzałam już nigdzie wychodzić. Zimno, a tu herbata z malinami. Więc po co wylażić? Usłyszałam, że włączyła się winda. Droga do góry bardzo długo trwała. Nasłuchiwałam przy samych drzwiach, które znajdowały się naprzeciw windy w odległości zaledwie półtora metra. Byłam bardzo ciekawa, jak wygląda ten bezdomny. Głos miał ciepły, jakby znajomy. Takie głosy słyszy się prze-ważnie w dzieciństwie. Po kilkunastu sekundach drzwi windy otworzyły się i mężczyzna, lekko szurając jedną nogą, powolnym krokiem, wchodził schodkami na półpiętro.

Żałowałam wtedy, że nie mam wizjera. Po raz pierwszy w życiu chciałam kogoś podglądać i nie czułam się z tym najlepiej. Ale z jakiegoś powodu ten człowiek mnie intrygował. Usłyszałam jedynie szuranie – chyba maty – tak to przynajmniej brzmiało. I ciężki oddech. Jakby bezdomny Jan miał problemy z oddychaniem. Jakby każde kolejne westchnienie

odpowiadało za kolejny etap jego życia. Ale nie znałam go, więc nie mogłam wiedzieć, kim jest ani dlaczego wybrał bezdomność. A może wcale nie wybrał? Co się stało? Może alkoholik? Narkoman? Morderca?

„Oj, chyba lepiej się w to nie zagłębiać”, pomyślałam i położyłam się do łóżka. Nago, bo nie dało się bardziej skrócić kaloryferów. Prawdopodobnie poprzedni lokator urwał zawleczkę i zostało tylko pokrętko. Śliskie jak zaschnięty kisiel.

To był blok z końca lat siedemdziesiątych, o bardzo cienkich ścianach. Zastanawiałam się, czy sąsiedzi też słyszą, jak bezdomny zasypia. Czy też są go ciekawi. Próbowалам zasnąć, dostosowując swój oddech do jego oddechu, ale był on dla mnie zbyt wolny. Jakbym ja żyła na szybszych obrotach. Tryb życia singielki – rano bieganie, szybki prysznic, kawa w biegu, musli bez mleka, za to z jogurtem. Potem praca – jak zwykle nikomu niepotrzebna, ale ze stosowną sumą na koncie pod koniec miesiąca. To wystarczyło, by nie zadawać zbędnych pytań. Wieczorem joga, która zamiast odprężyć, wnerwiała mnie jeszcze bardziej. Tylko ciało na tym zyskało, bo gibka byłam jak wąż od szlaucha.

Ale tego wieczora wyszło inaczej. Bo oddech Jana był na tyle wolny, że zaczęłam się uspokajać. Zasnęłam szybko.

Rano, gdy wychodziłam do pracy, bezdomnego już nie było. Zrobiło mi się smutno.

Tego samego wieczora historia się powtórzyła. Znów dzwonek. Te same słowa. Te same kroki. Ten sam oddech. Nagle pokochałam mroźną zimę i bałam się nadejścia wiosny. Jan dzwonił wyłącznie do mnie. Nigdy nie próbował mnie zagadać – wypowiadał tylko jedno zdanie. Pytanie właściwie. Wystarczyło mi, że o dwudziestej pierwszej dzwonił pod mój numer. Był jak pewnik, jak ojciec, którego praktycznie nie



miałam, bo odszedł od nas, gdy byłam niemowlakiem. Ojciec, którego widywałam średnio raz na pięć lat, zwykle na pogrzebach kogoś z rodziny. Ale brakowało mi go zawsze. Nie tylko figury mężczyzny opiekującego się rodziną, ale też tego pokazującego świat. Bo on ponoć dużo podróżował, jednak nigdy mnie ze sobą nie zabrał. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go widziałam. Teraz, coś w Janie mi go przypomniało, i trochę się tego uczucia bałam. Tak przyzwyczajam się do obecności oddechu na korytarzu, że nie wyobrażałam sobie zaśnieńcia bez niego. Byłam jakby zakochana w oddechu człowieka, którego na oczy nie widziałam. Ale nie musiałam. Wyobraźnia szła własną drogą i jak na razie nie domagała się niczego więcej. Ale tamtego dnia wyszłam wcześniej. Otworzyłam drzwi i aż zmrużyłam oczy: „To ty, tato?”. Odzyskałam ojca przez przypadek. Od tamtej pory jesteśmy prawie nierozłączni.

*Dominika, 43 lata*

**13** Kiedy po raz pierwszy, w wieku siedemdziesięciu sześciu lat zobaczyłam morze. Całe życie mieszkałam na wsi i najdalej byłam w mieście oddalonym o sto kilometrów. Pewnego dnia syn w końcu powiedział: „Mamo, zabieram cię na plażę”.

I po ośmiu godzinach siedziałam już na piasku, nie mogąc się napatrzeć na fale i przestrzeń.

*Maria, 87 lat*

Piweczko, słoneczko, ławeczka, nicnierobionko, to jest szczęście, kochana pani. Tak jak w reklamie z Woronowiczem. Kiedy zimny lyczek browara spływa w dół gardła i łaskocze, a poliki spala słońce. I nic się nie chce, tylko leżeć, nawet jeśli jest to beton pośrodku miasta.

*Tomasz, 44 lata*

Poszedłem do tego schroniska namówiony przez dziewczynę.

– Weźmy psa, weźmy psa – miauczała jak kot, dopraszając się po dziecięcemu. Zgodziłem się niechętnie, bo kto tego psa miałby potem pilnować? Ona cały dzień w banku, za okienkiem, ja często w podróży służbowych. Przyjaciół nie chciałem obciążać kolejnym obowiązkiem. Nasze mieszkanie też nie było tak duże, żeby pomieścić jeszcze psa: dwa pokoje, w jednym z nich zrobiłem sobie gabinet, w drugim spaliśmy my, mieściła się w nim właściwie tylko sofa i regały z książkami, nawet stołu nie mieliśmy, tylko zwykłą ławę. Kiedy myślałem, że pomiędzy tym wszystkim będzie się pałętał pies, to robiło mi się słabo. Zresztą ze szczekaniem też miałbym problem.

– Weźmy psa, weźmy psa – słuchałem jednak od rana.

Klatki, a właściwie boksy dla zwierząt były zadbane, ale i tak kojarzyły mi się z jakimś zamknięciem, uwięzieniem. Od razu mną szarpnęło. Pracownica schroniska pokazywała nam kolejne psiaki i każdy następny miał tak zabójczo rozczulające spojrzenie, żałośnie proszące o to, by go wziąć, że nagle zapragnąłem zabrać je wszystkie. Współczułem im, ale nie potrafiłem wybrać jednego. Koszmar. Słońce świeciło tak mocno, że trochę mnie oślepiało. W dodatku te poszczekiwanie i zawođenje wypełniały mi czaszkę.

Zamknąłem na chwilę oczy i powiedziałem sobie, że pierwszy pies, na jakiego spojrzę, będzie tym, którego weźmiemy. Moja dziewczyna zgodziła się na ten loteryjny wybór. Przeszedłem kilka kroków i dopiero wtedy uniosłem powieki. W głębi jednej z klatek siedział szczeniak, który trząsał się tak, jakby był mróz przynajmniej minus trzydzieści stopni. Skulony w kącie zdawał się mieć jeszcze bardziej przyklapnięte uszy, jakby nie chciał słyszeć całego tego psiego zawożenia.

– Ten – powiedziałem do pracowniczki schroniska, a ona od razu rozpromieniła się bardzo szerokim uśmiechem.

– Nikt go do tej pory nie chciał, bo taki trzęsący się i widzi pan, chyba nie za ładny. – Ściszyła głos, jakby pies miał ją usłyszeć.

Rzeczywiście, nie był zbyt śliczny, miał dziwną mordkę, szarą sierść, w dodatku bardzo szorstką i jakby potarganą, mały, nieporadny, z jednym zębem wystającym spod krzywej wargi. Ale te oczy! Patrzył na mnie, jakby chciał zahipnotyzować.

Moja dziewczyna skrzywiła się na jego widok, ale słowo się rzekło. Wzięłem go na ręce, nie wzbraniał się w ogóle, tylko od razu przytulił do piersi jak dziecko. Wpadłem po uszy. Kiedy podniósł głowę i zerknął przelotnie na mnie, poczułem, jakbym się znowu zakochał. Ciepło rozlało mi się w piersi i dopiero po chwili zobaczyłem, że piesek mi się zwyczajnie zlał na bluzę. Ale to właśnie było to szczęście, owa bliskość, którą czuję teraz każdego poranka, kiedy nas budzi.

*Paweł, 38 lat*

Pretensje mogę mieć tylko do siebie. Odkąd pamiętam, zawsze na coś narzekałam, zawsze coś w moim życiu było nie tak, i jedyną osobą, której nie obarczałam winą, byłam ja sama. Zawsze inni byli winni temu, że nie jestem szczęśliwa. Wiele osób tak mówi, prawda? Ale ja wstawałam z łóżka rano i narzekałam na pogodę – deszcz źle, słońce źle – woda w kranie za gorąca, buty się rozdeptały, mąż nie kupił takiej cebuli, jak trzeba, za małe pomidory, dzieci za mało energiczne i jakies takie niepozbierane. Nawet kot był winien, że leży cały dzień.

Pracowałam jako księgowa, więc od świtu w liczbach, przelewach, komputerze i chociaż miałam swój pokój i nikt mi głowy nie zawracał, to i tak było mi źle, że muszę pracować. Często słyszałam od znajomych, że powinnam się cieszyć, bo mam stałą i dobrą pracę, mąż mnie nie zdradza, a nawet obsypuje prezentami, z których większość i tak mi się nie podobała, i zwracałam je do sklepu lub zamieniałam na coś innego. Że powinnam się cieszyć, bo dzieci są zdrowe i dobrze się uczą, że mamy dom z ogrodem i nie musimy cisnąć się w mieszkaniu. A ja tego wszystkiego nie widziałam.

Widziałam tylko brak i niedostatki. Ale przyszedł taki dzień, jeden dzień, właściwie chwila, kiedy wszystko – a raczej mój mózg i pojmowanie własnej sytuacji – zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Wyszłam z pracy i po drodze do domu chciałam zrobić sobie małą przyjemność, bo oczywiście również i tego dnia nie byłam zadowolona. Zamiast od razu wsiąść do auta i pojechać do domu, poszłam kilka przecnic dalej do dużej galerii handlowej. Widziałam, że światełko z małym ludzikiem już migąło, ale i tak weszłam na jezdnię, nie patrząc na boki. I wtedy poczułam ogromny ból, usłyszałam huk własnego ciała uderzającego o blachę samochodu, a potem patrzyłam na siebie unoszącą się nad ziemią, na którą

po chwili spadłam i straciłam przytomność. Kierowca ponoć jechał dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Przed przejeżdżeniem dla pieszych.

Obudziłam się dzień później w szpitalu ze złamaną nogą, połamanymi niemal wszystkimi żebrami i potłuczeniem całej lewej strony ciała. Byłam jednym wielkim siniakiem. Wtedy zrozumiałam, że dopiero teraz mam prawo narzekać, przede wszystkim na to, że nie mogę sama pójść do toalety i ktoś musi mi ze wszystkim pomagać. Czułam się upokorzona jak jeszcze nigdy. Przeleżałam w szpitalu dwa miesiące. Mąż, dzieci, przyjaciele przychodzili mnie odwiedzać, a ja dopiero wówczas uświadomiłam sobie, jakie mam szczęście, że oni jeszcze chcą ze mną rozmawiać, że chcą mnie znać.

Kiedy po dwóch i pół miesiącach poszłam o własnych siłach do toalety i usiadłam na sedesie, byłam najszczęśliwszą osobą pod słońcem. I tak jest do teraz, nie jest to łatwe i wiem, że to banał nad banały, ale uczę się doceniać każdą małą chwilę.

*Judyta, 54 lata*

**17** Kiedy udało mi się zbiec ze zbombardowanego Groznego do Polski i poczułam się w końcu bezpieczna.

*Leyla, 48 lat*



Kilka drzew, wszystkie do siebie bardzo podobne. Podwórko, jakich wiele, z huśtawkami i małą karuzelą dla dzieci, a dla dorosłych ławkami, z których jest dobry widok na cały plac zabaw. Byłam już na emeryturze, chwilę po rozwodzie, dzieci już dawno założyły własne rodziny, na razie jednak bezdzietne. Długo nie wiedziałam, co zrobić z nagle podarowanym mi czasem i swego rodzaju wolnością. W końcu mogłam robić to, co chcę, ale kompletnie nie wiedziałam, co to miałyby być. Telewizja znudziła mi się, choć jeszcze do niedawna uwielbiałam oglądać seriale. Spacery do tego samego parku również, bo ile można patrzeć na kaczki i łabędzie. Chciałam gdzieś wyjechać, ale musiałam najpierw trochę przyszczędzić. Siedziałam więc na balkonie, patrząc na plac zabaw dla dzieci, i trochę tęskniłam za dzieciństwem moich córek i syna. Uwielbiałam, kiedy ni z tego, ni z owego nagle chwytały mnie za rękę lub się przytulały. Patrzyłam teraz, jak robią to inne dzieci innym mamom. Maj tego roku był bardzo gorący. Siedziałam w kuchni, dopijając kawę i podczytując jakiś kompletnie idiotyczny romans. Dzwonek do drzwi.

– Pani Haniu, bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale mam podbramkową sytuację. Opiekunka do Emilki nagle musiała wyjechać i dała mi znać w ostatniej chwili. Zostałam na lodzie i nie mam kogo poprosić. Mogłaby się pani nią dziś zająć? Znamie się, nie powinno być problemów. Oczywiście, zapłacę pani.

Znałam Emilkę, lubiłam to dziecko, bo uśmiechało się zupełnie jak moja córka.

– Nie ma sprawy. – Próbowałam ukryć radość, bo ktoś właśnie dał mi jakieś zajęcie, jakiś cel, którego sama dla siebie nie potrafiłam znaleźć.

Poszłyśmy na plac zabaw. Emilka od razu zarządziła zabawę w chowanego. Najpierw ona się chowała, potem ja i kiedy

36 tak stałam za jednym drzewem, słuchając, jak mała liczy: „Laz, dwa, tsy, ctely...”. Zaczęłam się śmiać jak dziecko. Znowu się nim poczułam, poczułam tę lekkość i radość w sercu, które nie zdarzały mi się od tak dawna. Wieczorem, kiedy siedziałam w wannie, pomyślałam, że szczęście przybiera jednak różne oblicza.

*Hanna, 71 lat*